

Joanna  
Mokosa-Rykalska

Kontynuacja  
bestsellera

**MATKA  
SIEDZI  
Z TYŁU**

# MATKI PRZODEM

*Jak wylądowałyśmy  
w ciemnej d\*\*\*ce*



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

# Rozdział 1

– Kochanie, pamiętasz, że dzisiaj po południu przychodzą do nas Lewandy? – spytał mężu.

Zamarłam. Byłam absolutnie pewna, że to miało być za tydzień.

– Jak to dzisiaj? A nie w następną sobotę? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Nie, ostatnio jak u nich byliśmy, po wypiciu pół butelki wina zapraszałaś ich przez pół godziny na dzisiaj – przypomniał.

No dobra, wygląda na to, że jestem inteligentna bezobjawowo.

– Borze szumiący, jeszcze goście, jak mi się nie chce – westchnęłam.

– Możesz nagrać to, co powiedziałaś? Chcę mieć dowód, bo według ciebie to ja jestem nietowarzyski.

– Bo jesteś. Ty nawet choroby wymyślasz, jak ktoś ma do nas przyjść, a ja przynajmniej mówię szczerze, że mam to gdzieś – odburknęłam.

Podszedł i mnie przytulił. Chyba widział, że się dzisiaj nie wyspałam, bo przecież generalnie uwielbiam ludzi. Jednak ilość codziennych obowiązków domowych dawała się we znaki.

– Kupię jakieś przekąski i wino, będzie dobrze – obiecał i zaczął szykować się do wyjścia.

Na szczęście był dopiero poranek. Wojtek z Kaśką pojechali do sklepu szukać kloszardowych ciuchów dla niej, bo od kilku dni marudziła, że nie ma się w co ubrać. Dlaczego kloszardowych? Cóż, tak obecnie wygląda moda młodych dziewcząt. Ostatnio byłam z psem, gdy ze szkoły wysypała się grupka dam. Kurwuniu, z którego śmietnika one biorą te ciuchy?! Spodnie ciągną się po ziemi albo kończą tuż przed kolanami, ale najważniejsze, żeby były szerokie i podarte, jakby wpadły w zęby bulteriera. Bluzy i kurtki trzy numery za duże. A butami to można zabijać. Ale co zrobisz, jak nic nie zrobisz.

Kiedy wyszli, zaczęłam trochę ogarniać nasz pierdolnik. Na chwilę usiadłam na kanapie i wgapiłam się w program o kupowaniu przez milionerów domów na Karaibach. Prowadzący w luźnej rozmowie zadał im pytanie, gdzie ostatnio byli. A ci, że tu i tam. Magellan się do nich nie umywał „A ty gdzie byłaś, Joanno?” – zapytałam samą siebie, natchniona amerykańską retoryką. W łazience na przykład, niedawno również w przedpokoju, no i niestety w kuchni. I jestem absolutnie przekonana, że doznania i poziom adrenaliny mieliśmy bardzo podobny.

Moje dywagacje przerwał Piotruś:

– Na którą jedziemy na urodziny Franka?

– Na czternastą, mówiłam ci już.

– A która jest?

– Trzynasta.

– A dokładnie?

– Dwunasta pięćdziesiąt sześć.

– To dlaczego mówisz, że trzynasta?

Młody za każdym razem punktował mnie w tej sprawie. Nie wiem, jakie znaczenie miały dla ludzkości te cztery minuty, ale

jego precyzja dała mi do myślenia, że w przyszłości albo będzie chirurgiem, albo zawodowym mordercą, którego nikt nigdy nie złapie. Po takich rodzicach raczej obstawiałabym to drugie.

Po wielokrotnym: „Założ buty, tu masz bluzę, umyj zęby, bo zmoczenie szczoteczki do zębów wodą to jednak nie to samo” wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do samochodu. Był ładny październikowy dzień. Na dworze leżały liście mieniające się w słońcu feerią kolorów. Uwielbiam taki widok. Chyba natura rekompensuje w ten sposób już krótkie i zazwyczaj mało przyjemne dni.

– Mamuś... – zaczął Piotrek.

– Słucham, synku?

– Franek to ma fajnie.

– A dlaczego?

– Bo jego rodzice są rozwiedzeni.

– I dlatego ma fajnie?

– No tak, bo na urodziny zawsze dostaje podwójne prezenty.

– To prawda, ale prezenty chyba nie są w życiu najważniejsze.

– Oczywiście, że są.

– Synku, nie można być takim materialistą.

– Czyli?

– Czyli myśleć tylko o rzeczach.

– Ale zawsze powtarzasz, że trzeba mówić prawdę. No więc mówię.

I zabił mnie gnojek moją własną bronią. Szkoda tylko, że nie do końca to się sprawdza, jak pytam, czy odrobił lekcje.

Naszą szczerą dyskusję przerwał dojazd na miejsce. Mańka postanowiła zaprosić gości na ściankę wspinaczkową.

Weszliśmy do środka, przedarłszy się przez biegające dzieciaki, które były jeszcze na dole. Inne, niczym orangutany, wspinały się najwyżej, jak potrafiły.

– Asiunia, tutaj – zawołała do mnie Mańka. – Cześć, Piotruś. Chodź, zaprowadzę cię do dzieci.

– To idę, mamuś, paaaa! – Chłopcy w tym wieku są tacy słodcy.

– Cześć, Joanna – usłyszałam męski głos. Rzadko ktoś wypowiada w ten sposób moje imię. To musiał być Robert, były Mańki.

– O, cześć – przywitałam się. Sytuacja była trochę niezręczna. Kiedyś przecież spędzaliśmy wszyscy razem sporo czasu. Jednak odkąd Mańka i Robert się rozstali, z jej eksem widzimy się tylko czasami, jak na przykład odbiera od nas chłopców.

– Co słychać?

– Wszystko po staremu: praca, dom i cały ten kołowrotek – odpowiedziałam dość enigmatycznie. – A u ciebie? – zrewanżowałam się, bo wypadało, choć doskonale wiedziałam od Mańki.

– Też dobrze, zmieniłem pracę, więc dużo się dzieje, no i te dwa małe potwory. Nie jest łatwo. – Wskazał z uśmiechem na dzieci. Biedactwo. Szkoda tylko, że ponad rok temu nie ciążyła mu Tajka na penisie, z którą był uprzejmy robić to i owo, będąc w związku z moją przyjaciółką.

– No nie jest – powiedziałam zgodnie z prawdą. Całe szczęście podeszła do nas Mańka, bo byłam bliska, żeby coś palnąć.

– Wszystkie kaszojady są już na ścianie – oznajmiła zadowolona.

Patrzyłam na nią z podziwem. Stała obok Roberta tak po prostu, bo była z nim w dobrych stosunkach. Ja bym pewnie ciągnęła dziada przez następne dwa lata przywiązanego do samochodu. Trzeba przyznać, że się zmienił, nawet miałam wrażenie, że o nią zabiegał. Mańka wyglądała jednak na taką, co już to sobie w głowie poukładała. No i przede wszystkim spotykała się z Pawłem.

Spojrzałam na zegarek, którego byłam zakładniczką, i zaczęłam zbierać się do wyjścia.

– Mańka, muszę już iść. Mamy dzisiaj gości, wiesz, Lewandowy do nas przychodzą, tylko jakby o tym zapomniałam. Muszę ogarnąć dom, czyli poupychać cały burdel do szafek, bo inaczej nie zdążę – powiedziałam. – Wojtek przyjedzie potem po Piotrkę, okej?

– Dobra, idź, tylko pamiętaj, co gdzie wkładasz. Ja ostatnio nieopatrznie schowałam do szuflady hodowlę fasoli synusia. Jakież było moje zdziwienie, gdy otwieram ją, a tam rośnie drzewo! Drzewo w szafce, czujesz? – rechotała Mańka.

Ja jak ostatnio schowałam przez przypadek ser francuski do szafki zamiast do lodówki, to o jego bytności przypomniał mi taki smród, że myślałam, że będę musiała chatę dezynfekować.

– A o Piotrkę się nie martw – uspokoiła mnie Mańka. – Jeden z dzieciaków mieszka w waszej okolicy, to poproszę, żeby zabrali go ze sobą i odwieźli do domu.

Jak dobrze mieć taką przyjaciółkę. Masz pewność, że nie jesteś jedyną, która ogarnia życie z pewnymi niedoskonałościami. Pożegnałyśmy się i pojechałam do domu. A tam czekał na mnie pokaz mody.

– Mamo, zobacz, co kupiliśmy. – Kasia zaczęła prezentację i wyciągnęła z torby piękny biały sweterek. Bielusieńki. No

jasna cholera, przecież to będzie upierdalone przy pierwszym obiedzie! Powinien być zakaz produkcji jasnych ubrań do rozmiaru 158 centymetrów!

– I spódniczkę zobacz. Mówiłaś, żebym czasem nosiła, to teraz mam – kontynuowała zadowolona. Bardzo mnie ucieszyła, że jednak nie będzie się ciągle ubierać jak szlora i idzie w stronę kobiecości. Wzięłam tę spódniczkę do ręki – nietrudno było zauważyć, że jej długość nie była zbyt imponująca, chociaż nie, ona nie miała długości, tylko krótkość.

Niedawno były bluzki do pępka i półubrania. Powiedziałam Kaśce, że pójdzie tak do szkoły po moim trupie. No więc codziennie rano obawiałam się o swoje życie.

– Nie widziałeś, jaka ona krótka? Jak się schyli, to jej brochę będzie widać! – zachnęłam się po cichu, piorunując męża wzrokiem. To już wolę te za duże ciuchy. Może będzie wyglądać jak kloszard, ale nie jak lafirynda!

– W sklepie wydawała się dłuższa. A zresztą nie przesadzaj! – odparował, chcąc tak naprawdę rzucić: „O co ci chodzi?”.

– No i spodnie – zaprezentowała Kasia. Patrząc na ich długość, powiedziałabym, że to dwie zszyte pary. Niemniej jednak dziecko wyprowadziło mnie z błędu: – Mamuś, no tak się teraz nosi.

Rzuciłam mężowi przelotne dwugodzinne złowrogie spojrzenie. Kaśka pozamiata tymi spodniami wszystkie chodniki na osiedlu.

– Kotek, wiesz, jak ciężko coś dla niej znaleźć – powiedział.

Córa była jednak wyraźnie zadowolona. Nie pozostało mi więc nic innego jak zaakceptować ten styl „na nędzarza”.

Zaczęliśmy przygotowywać się do przybycia gości. Czas zleciał szybko jak woda w sedesie. W końcu zadzwonił domofon.

– Cześć, kochani – przywitałam ich wesoło. Czyli jednak wszystko ze mną w porządku i nadal lubię ludzi.

Dominika i Marcin weszli do środka, a między nimi płatała się ich półtoraroczna córeczka Amelka. Mamy już niewielu znajomych, którzy mają tak młode potomstwo.

– A kto tu nas odwiedził? – Schyliłam się do małej. Miała piękne kręcone złote włosy i niebieskie oczy.

– Nasza opiekunka jest trochę przeziębiona i nie chcieliśmy zostawiać z nią Amelki – wytłumaczyła Dominika, bo rzeczywiście planowali przyjść sami. Ale wcale nie byłam zaskoczona takim obrotem sprawy. Długie oczekiwanie na macierzyństwo sprawiło, że Dominika należała do przewrażliwionych matek. Obstawiam zatem, że opiekunka kaszlnęła, bo zakrztusiła się przy picciu herbaty, a ta już była gotowa kwarantannę na cały blok nałożyć.

– Nie szkodzi – powiedziałam, bo przecież już nie było wyjścia. Aczkolwiek im jestem starsza, tym częściej myślę, że dzieci są jak bąki. Można znieść tylko własne.

Znajomi rozsiedli się wygodnie na kanapie. Na chwilę wpadła Kasia, żeby się przywitać, i udała się z powrotem do swojej jamy zwanej pokojem.

– Napijcie się czegoś? Może whisky? – zaproponował Wojtek i puścił oczko do Marcina.

– A nalej trochę tej wody na myszach – odparł zadowolony. Nigdy nie rozumiałam, jak można pić coś, co ma zapach stęchłej szafy.

– Ja dziękuję – odmówiła Dominika. A szkoda, bo jej akurat by się przydało, żeby trochę poluzowała gumkę.



Gdy panowie delectowali się trunkiem, my poszliśmy do kuchni.

– Co słyhać? Opowiadaj – zagadnęła Dominika ze szczerym zainteresowaniem.

Pamiętam ten czas, gdy siedziałam z dziećmi w domu. Każda informacja ze świata zewnętrznego inna niż pieluchy czy gęstość stolca była arcyciekawa.

– U mnie jak zwykle, dużo pracy. – Nie patrzyłam jednak na koleżankę, tylko obserwowałam małego diabła wcielonego. Amelcia, choć była jedna, wyglądała, jakby ktoś ją skłoniwał, bo znajdowała się wszędzie.

– Da – powiedziała i podeszła do stołu, po czym pociągnęła za obrus.

– Kotku, zostaw. – Dominika szybko do niej podbiegła. Kotek, a raczej tygrys bengalski, nic sobie z tego nie robił. – A nad czym teraz pracujesz? – próbowała podtrzymać rozmowę, ale jej oczy skanowały przestrzeń w ślad za pędrakiem.

– Papierkowa robota po skończeniu serialu, ale niedługo będę robić...

– Kochanie, nie jedz tej ziemi, bo ci zaszkodzi – przerwała mi Dominika i rzuciła się, żeby otrzepać małe niewinne łapeczki gmerające w mojej jedynej roślince, która nie padła z wysuszenia. Czort z dzieckiem, w końcu nie moje, ale kwiatkowi na pewno zaszkodzi, gdy wrzeszczun oberwie mu wszystkie liście!

– Że co? Co zaczniesz drobić? – zapytała Dominika, lekko już oszołomiona.

– Nie drobić, tylko robić – próbowałam skierować rozmowę na odpowiednie tory. Były jednak nieco skrzywione.

Konwersacja z rodzicem, który ma pod opieką małe dziecko, jest jak rozmowa z chorym na zespół Tourette'a. Nigdy nie wiesz, z czym wystrzeli.

– Nowy projekt. – Patrzyłam na małe tornado biegnące po moim salonie, aż się od tego zmęczyłam. To ja już chyba wolę, jak moje pyskują. Dziecię na chwilę udało się do tatusia, więc Dominika mogła nareszcie się wyprostować i wyglądała jak człowiek, a nie neandertalczyk.

– Wiesz co, ja to się chyba jednak napiję – stwierdziła. A pisali w mądrych książkach, że dziecko to cud. Cud to jest chyba wtedy, jak przez godzinę nie chcesz go oddać do adopcji!

Do domu wrócił Piotrek z imprezy urodzinowej. Był w szampańskim humorze.

– Cześć wszystkim – przywitał się.

– Cześć, Piotruś. Ale ty wyrosłeś! – uśmiechnęła się Dominika.

– I jak, synku, fajnie było? – zapytałam.

– Bardzo, najadłem się tyle słodczy, że chyba puszcę pawia – oznajmił z rozbijającą szczerością. Czyli jednak to nie był szampański humor, tylko delirka po przedawkowaniu cukru.

– A co ja mówiłam? Żebyś nie jadł ich za dużo.

– No i nie jadłem, bo jeszcze nie puściłem – skwitował.

Momentalnie tuż obok nas zjawiała się Amelka zainteresowana kolejnym domownikiem.

– O, małe dziecko – zauważył Piotrek.

– Przywitaj się z chłopcem, kochanie – powiedziała przeziębienie Dominika.

– Gol – odezwało się tornado monosylabą.

– Co „gol”? – zdziwił się Piotrek.

– Nic, nic – uśmiechnęłam się, czując się jak w jakimś czeskim filmie.

– Lubi grać w piłkę – wytłumaczyła moja koleżanka. Ta, lubi też jeść ziemie, ssać baterie z pilota i ciągnąć za firanki.

– A, to ja jej dam, jeśli chce. – Syn chciał nieść pomoc. Dlaczego ja go wychowałam na tak dobrego chłopca? Może szyby w oknach są brudne, ale przynajmniej całe!

Dziecię udało się z nim do pokoju. Tuż za nim chciała podążyć Dominika.

– Daj spokój, zaraz wróci... niestety – odpowiedziałam i za późno ugryzłam się w język, bo dostrzegłam, że koleżanka ma prawie łzy w oczach.

Przyłączyliśmy się do panów. W pokoju rozchodził się zapach cygar. Caringtony się znalazły. Kryzys wieku średniego przyszedł jednak szybciej, niż myślałam. Czyżby nadchodził także czas na wymianę żon na młodsze glonojady?

Dominika nie wytrzymała napięcia i pobiegła do pokoju dzieci. Przyjemna cisza dudniła w uszach i nawet już mi ten dym nie przeszkadzał. Miałam za to pewność, że nikt nie pogryzie mi kanapy. Postanowiłam, że i ja polehcę swoje podniebienie wysokoprocentowymi bąbelkami, gdy usłyszałam dźwięk tamburynu.

– Nie znaleźliśmy piłki, za to Amelci bardzo spodobał się ten instrument – powiedziała uradowana Dominika.

To się nie działo naprawdę. Dzieciak katował tamburyn, napieprzając w niego bez przerwy. Ostentacyjnie patrzyłam na zegarek, ale niestety nikt się nie kapnął, że to znak, że trzeba już iść. Brzęczenie słychać było w całym mieszkaniu. To było na tyle z naszych i tak przerywanych niczym stosunek rozmów. Koncert tornada trwał w najlepsze przy

akompaniamencie oklasków Dominiki. Tylko Rubika brakowało.

Po pewnym czasie chyba Marcinowi napięła się żyłka, bo poprosił, aby córeczka zaprzestała występów. Po krótkich negocjacjach zabrał jej zabawkę, co nie spotkało się ze zrozumieniem małej artystki. Dzieciak był nieprzejednany i zaczął piszczeć jeszcze głośniejsze niż tamburyn, więc instrument znów do niego trafił. Tym razem Amelka usiadła w kącie, a my wróciliśmy do rozmowy. O dziwo, nie było nawet specjalnie głośno. Może i jej się w końcu baterie wyczerpały.

Ale gdy właśnie nalewalam sobie wino, usłyszałam wielki płacz.

– Amelciu, kochanie, co ty zrobiłaś?! – krzyknęła rozpaczliwie Dominika. Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Diabeł wcielony włożył sobie na głowę tamburyn, który nie chciał zejść.

– Marcin, widzisz? Pomóż mi, trzeba coś z tym zrobić! – panikowała koleżanka.

– Amelciu, daj, tatuś ci zdejmie. – Ojciec usiłował stanąć na wysokości zadania, jednak każdy ruch instrumentu w górę powodował ocieranie się o uszy i jeszcze większy krzyk dziecka.

– Zostaw! Co robisz?! Przecież krew jej leci! – krzyczała Dominika. Staliśmy obok z Wojtkiem, nie bardzo wiedząc, jak pomóc.

– Może trzeba przeciąć – zaproponował ze spokojem mąż. Do pokoju przybiegli Kasia i Piotrek.

– O ja! XD! – zareagowali nowomową.

– Nic nie będziemy przecinać! – histeryzowała Dominika.

– Kochanie, spokojnie, może to dobry pomysł – wtórował Wojtkowi Marcin. Whisky zdecydowanie ich rozluźniła i wpłynęła na punkt widzenia.

– Asia! Ubieraj się! – usłyszałam nagle.

– Ale przecież jestem ubrana, coś nie tak? – Spojrzałam na siebie niepewnie. Może nie była to najnowsza kreacja *haute couture*, ale naprawdę ją lubiłam.

– Jedziemy do szpitala! – zarządziła Dominika.

– Do szpitala? Po co?

– Muszą nam jakoś pomóc!

– Dominiczko, może jednak sami sobie z tym poradzimy – wtrącił Marcin.

– Nie mów do mnie teraz. Wiem, co robię – odpowiedziała.

– Pojadę z wami – upierał się.

– Nie, ty piłeś, jadę z Asią.

Ze strachu prędko włożyłam już jeden but, ale nie byłam pewna, czy mam wkładać drugi, bo nie wiedziałam, jak skończy się pierwszy akt dramatu. W związku z tym stałam jak czapla w oczekiwaniu na rozwój sytuacji. Za chwilę znalazłyśmy się jednak w samochodzie – my dwie oraz mały człowiek orkiestra.

– Amelciu, już jedziemy do pana doktora. – Dominika nie przestawała mówić, a dziecko płakać. Przy każdym ruchu dziewczynki słychać było dźwięk tamburyna. A gdyby tak postawić ją na starówce i położyć kapelusz na drobne?

– Matko, zobacz, już jej się uszy naderwały przez to wszystko.

– Nie przejmuj się, doszyją, skoro nawet kończyny przyszywają – chciałam dodać jej otuchy.

– Jezus Maria, będą ją szyć? Taką małą? – lamentowała koleżanka. „Nie, poczekają jeszcze ze trzy lata” – miałam ochotę wypalić.

– Dopóki moje dzieci nie skończyły dwóch lat, byłam z nimi w szpitalu co najmniej kilka razy: przecięta warga,

zwichnięty nos, złamany nadgarstek – wyliczałam jak raso-  
wa mama.

– No już dobrze, kochanie, zaraz będziemy u pana doktora –  
mówiła Dominika do Amelki, prawdopodobnie wypierając  
moje słowa dotyczące dziecięcych wypadków.

Włączyłam radio. Nie powiem, muzyka całkiem dobrze  
komponowała się z tym tamburynem.

Podjechałyśmy pod szpital. Dominika wzięła dziecko pod  
pachę i z prędkością światła pobiegła na ostry dyżur. Był so-  
botni wieczór. Próbowałam znaleźć odpowiedź na pytanie,  
dlaczego właśnie ja muszę go spędzać w ten sposób. Czy to  
jakaś kara za nienachalny stosunek do kulinariów?

– Dobry wieczór, pilnie potrzebujemy lekarza. Moja córka  
włożyła na głowę instrument i naderwała sobie uszy. – Domi-  
nika rzuciła się na pielęgniarkę, trzymając Amelkę na ręce.  
Każdy jej ruch sprawiał, że tamburyn grał. Wszyscy zwrócili  
na nas uwagę. Ja rozważyłabym zgłoszenie małej do *Mam  
talent!*

– Moment – odpowiedziała niespiesznie pielęgniarka. Gdy-  
by Dominika z nogą pod pachą przyszła, to może by ją ru-  
szyło.

– Tu nie ma na co czekać! – Koleżanka dzwoniła dzieckiem.

– Tutaj jest numerek i proszę czekać, aż się wyświetli. Ma  
pani kolor zielony – stwierdziła pielęgniarka bez większych  
emocji. Pewnie nie takie tamburyny na głowach widziała.

– Jak to zielony? – zapytała Dominika.

– Bo nie ma zagrożenia życia, droga pani – wycedziła przez  
zęby kobieta.

– No jak nie ma?! – panikowała koleżanka, a ja obstawiałam,  
że kolor zielony jest przeznaczony dla pierdolniętych matek.

Jeśli zaś chodzi o zagrożenie życia, to jeszcze chwila, a Dominika sama będzie musiała ustawić się w kolejce.

– Chodźmy, to szybko minie. – Wzięłam ją nerwowo pod rękę, bo inaczej zamęczyłaby tę biedną kobietę, i posadziłam razem z człowiekiem orkiestrą na krzeselkach. Sama zaczęłam krążyć wokół dla zabicia czasu. Miałam dość Dominiki, tamburynu oraz całej tej historii. Zadzwoiłam do Wojtka i powiedziałam, że trochę tu posiedzimy, bo co chwila do lekarza wchodził ktoś z poważnymi urazami, a nie my z naszą grającą trupą.

W pewnej chwili usłyszałam znajomy głos:

– Tatko, zaczekaj. Nie tutaj. To szpital dla dzieci. – Jakaś kobieta ciągnęła starszego pana za rękę.

– Baśka? Co ty tu robisz? – zawołałam, gdy dostrzegłam, kto to.

– Dżoana? Dżizas, co za spotkanie! – Baśka rozejrzała się wokół.

– Ja przyszłam z tym girlsbandem. – Wskazałam na Dominikę z Amelką. Baśka parsknęła śmiechem. – No a ty? – zapytałam ponownie. Wiem, że w pewnym wieku więcej rozmawia się o chorobach niż o kochankach, ale spotkania w szpitalu nadal pozostają rzadkością.

– Przyjechałam z tatą. Pamiętasz go? Tato, to moja przyjaciółka, Joanna, a to mój tata, Stanisław. Tylko pomyliliśmy oddziały, jak mówiłam, tatusiu – powiedziała, spoglądając na niego wymownie.

Przywitałam się i, nauczona doświadczeniem, zmierzyłam go wzrokiem, wypatrując, z czym tutaj przybył.

– A co jest tatusiowi? – zapytałam po cichu.

– Właśnie o to chodzi, że nic, jak zwykle! Wczoraj rzekomo połknął tabletki nasenne. Najpierw przeczytał, jakie są skutki

uboczne, i gdy rano się obudził, to oczywiście wszystkie u siebie zauważył. A to nie były żadne tabletki nasenne, tylko antykoncepcja dla psa, którą wziął przez pomyłkę! Tylko nie dał sobie tego wytłumaczyć!

– To chyba jeszcze lepsze niż ten tamburyn – ucieszyłam się jak dziecko. Nie tylko ja miałam sobotę z tak zwanej dupy.

– A tak w ogóle to co u ciebie? Dawno się nie widziałyśmy. Kiedy ty z tej Kolumbii wróciłaś? – zapytałam, bo za Bašką trudno było nadążyć. Była podróżującym po świecie wolnym elektronem. Co rusz znajdowała inne źródła zarobkowania. Przez długi czas pracowała jako scenografka, ale postanowiła zrobić sobie przerwę. Na razie bez daty powrotnej.

– No już jakiś czas temu i na razie mam takie właśnie atrakcje. – Wskazała na Stanisława, który nerwowo przebiegał nogami.

– Basieńko, chodźmy już – pospieszał moją przyjaciółkę.

– Idę, tatko. Dżoana, muszę iść, bo nie odpuści. Wystarczy, że lekarz przepisze mu rutinascorbin, momentalnie poczuje się lepiej. On po prostu kocha białe kitle. Koniecz- nie musimy się spotkać. Wszystkie razem. Zadzwoń do ciebie potem. Paaaaaa! – I pobiegła. Cała ona. Wiecznie w pośpiechu na różnych szerokościach geograficznych.

Wróciłam do swojego girlsbandu. Po wielogodzinnych oczekiwaniach Dominika dostała się do lekarza. Dzięki fachowej pomocy magików od spraw niemożliwych głowa Amelki została uwolniona od tamburynu, uszy opatrzone i można było jechać do domu.

Byłam potwornie zmęczona. Panowie, o dziwo, stanęli na wysokości zadania. Dzieci spały, a na stole czekała gorąca kolacja. Było jednak już tak późno, że nasi znajomi postanowili



pojechać do siebie. Nie powiem, żebym jakoś specjalnie ich zatrzymywała.

Usiadłam na chwilę na kanapie i nalałam sobie wina, nie udało mi się go jednak wypić. Czy tak ma wyglądać życie, że ciągle dzieje się coś niezapowiedzianego? Moje oczy uznały, że pójdą spać, nie konsultując tego ze mną.

W niedzielę na wszelki wypadek wyłączyłam telefon. Jeszcze ktoś zechce nas odwiedzić. Mimo wolnego dnia miałam już syndrom poniedziałku. Goniła myśli, przygotowanie dzieci do lekcji, i w ten oto magiczny sposób kolejny weekend przeleciał jak dzisiejszy obiad przez jelita.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)  
Zapraszamy na [wielkalitera.pl](http://wielkalitera.pl)

